Ner 33. Kraków 20 listopada 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

—◇◇—

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Angelika Kaufmann.

USTĘP Z HISTORJI MALARSTWA XVIII WIEKU.

(według niemieckiego)

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy).

Rzeczą jest zatem naturalną, iż niepodobna z tych najsmutniejszych i pustych czasów sztuki przedstawić wiele szkiców indywidualnych. Z owych niemieckich malarzy, którzy eklektyzmowi na najniższym stopniu łudzącego naśladownictwa hołdowali, najwięcéj charakterystyczną ma postać *Christian Wilhelm Ernst Dietrich* (rok 1712–1774). Francuzkich malarzy, jak *Boncher*, *Watteau*, *Greuze* i innych również przy szkicowaniu owego wieku opuścić nie można. Z czasu zaś, kiedy pierwsza jutrzenka zaświtała dla sztuki, do któréj wielu szczególnie niemieckich należało malarzy, godni są przed innymi wzmianki: *Rafael Meags* (1728–1779) i *Angelika Kaufmann* (1741–1807), z którą wiąże się pierwsza nadzieja nowego zwrotu i rozwoju sztuki w Niemczech; a w owéj epoce przechodowéj historji malarstwa, imie téj niegdyś wysoko wielbionéj kobiety, któréj utwory dziś jeszcze na uznanie zasługują, nie powinno być przepomnianém.

Marja Anna Angelika Kaufmann była córką malarza, który mieszkał najpierw w swem rodzinnem miejscu Szwarzenbergu, późniéj atoli w skutek polecenia biskupa z Chur, przeniósł się do tego miasta, gdzie wkrótce się ożenił. Tutaj r. 1741 żona powiła mu jedyne dziecko Angelikę. Ojciec, zdaje się był to człowiek miły, łagodny ale i rozsądny, który córki swéj nie nęcił do sztuki głodem i rózgami, jak stary szalony Mengs swe dzieci, ale umiał on rozbudzić i pokierować wczesne skłonności dziewczęcia i niespostrzeżenie zainteresować ją sztuką.

W młodzieńczych latach znajdujemy Angelikę Kaufmann nad jeziorem Como. Tutaj częścią przyjemność i wdzięki, częścią spokojna południowa wspaniałość jeziora, bogactwo ogrodów i will rozpołożonych nad jego brzegami, romantyczny urok wiejący z południowych gajów, ponurość chodników, w których marmurowe posągi niemo opowiadały o klasycznéj przeszłości, — wszystko to wywierało niezaprzeczenie na artystyczny zmysł dziewczęcia stanowczy wpływ i przyszłemu jéj rozwojowi nadawało pewną miarę i pewien kierunek. Tutaj nabrała ona owego fantastycznego pojęcia starożytności, bądącego raczéj sentymentalnością starożytności. Pojęcie to nie było wonczas jeszcze absolutnie zdrowe, pierwszy dopiero *Karsteus* poznał i podniósł tę głęboką i wielką prostotę, pierwotną istotę starożytności; nie idzie jednak za tem, abyśmy mieli pomijać tych, którym wprawdzie nie było dano zupełnie to znać i wiedzieć, ale którzy mieli przynajmniéj wewnętrzny pociąg i dążność do tego. *Lessing* pierwszy w literaturze objaśniając i oczyszczając wskazał na starożytność, a mężowie jak *Vos*, *Klopstock*, *Gessner* i inni przyjęli to w swych płodach, Vos i Klopstock zbyt powabnie, Gesner zaś w sielankowy sposób, a czyż dla tego mamy ich pomijać, ponieważ dopiero Goethe pojął zupełnie starożytną piękność i wytworzył jéj wolne i proste i naturalne znaczenie? Podobne stanowisko, jak w literaturze Gessner i inni, zajmuje Angelika Kaufmann w sztuce.

W Como stała się rozkwitająca dziewica, któréj wdzięki i piękność nadzwyczaj wielbiono, przedmiotem wielkiéj i powszechnéj uwagi. Jéj umiejętność portretowania pastelowemi farbami, wkrótce nabrała wielkiego rozgłosu, w skutek czego Angelika odbierała liczne zamówienia. Oprócz tego kształciła się ona w naukach i muzyce pod kierownictwem swego rozumnego ojca; głos jéj miał być tak dźwięczny i piękny, iż przez długi czas nosiła się myślą wstąpienia do opery. Mylném zaś jest twierdzenie, jakoby Angelika tutaj pierwszy miała stosunek miłosny, nie miała bowiem jeszcze czternastu lat, kiedy z swym ojcem opuściła Como i udała się do Medjolanu.

Jeżeli pierwsze wrażenia, jakich doznała wpośród niezrównanie pieknéj przyrody nad jeziorem Como nadały pewien kierunek wzrastającemu dziewczęciu, tedy w Medjolanie dopiero rozpoczyna się właściwie artystyczne jéj wykształcenie. Znajdujące się tutaj skarby sztuki, studja lombardzkich mistrzów, przedewszystkiem zaś poznanie dzieł Leonarda da Vinci stanowczy wywarły wpływ na artystyczny rozwój Angeliki, i napiętnowały jéj artyzm

łagodną, czysto kobiecą, namiętną cechą. Tutaj weszła młoda malarka po raz pierwszy w świat wyższy, w którym aż do śmierci swéj pozostała. Dowodzi to głębokiego i czystego charakteru artystki, iż w czasie swego ruchliwego poczęści nader świetnego żywota w wielkim świecie, nic na wewnątrz nie straciła, lecz owszem swą skromność, miłość do sztuki pełną i gorącą aż do zgonu zachowała. We Florencji znajduje się, jak wiadomo, zbiór własnoręcznych portretów najznakomitszych artystów. Między niemi spostrzedz można także portret Angeliki Kaufmann. Miłe i wdzięczne jéj rysy posiadają niezaprzeczenie wyraz głębokiéj wewnętrznéj skromności i cichéj kobiecości.

W szesnastym roku swego życia straciła Angelika matkę, a wkrótce potem opuściła wraz z ojcem Medjolan i udała się do Szwarzenbergu, gdzie pomagała przy malowaniu tamtejszego kościoła. Tutaj tym sposobem nabrała nasza artystka pewnéj wprawy w sztuce malowania *al fresco*, nie bardzo, jak wiemy, przystępnéj dla ręki kobiety. W czasie dłuższego swego pobytu w rodzinném miejscu ojca, pozyskała sobie serca tamtejszych mieszkańców — a luba, zdolna, pięknością i wdziękiem obdarzona artystka, w pierwszym rozkwicie swéj młodości, wśród krewnych i w gronie rówienniczek lub przyjaciółek stała się prawdziwie czarującem zjawiskiem. Raz tylko jeszcze późniéj zwiedziła Angelika swą krainę, powracając po dwudziestu latach z Anglii; posiadała już wtenczas znaczny majątek, a jak opowiadają, w przejeździe swym była opiekuńczym aniołem dla ubogich swéj ojczyzny. Kiedy malatura Szwarzenberskiego kościoła została ukończona, Angelika udała się nad jezioro Boden, ztamtąd do Szwajcarji, Tyrolu i wyższych Włoch; ciągłe zaś zamówienia, jakie odbierała, przynosiły jéj niemałe zyski. Wkrótce jednak artystka pociągnęła w świat daléj i zabawiła dłuższy czas we Florencji, gdzie studjując starożytnych mistrzów i kopjując ich obrazy, tworzyła także własne oryginały. Tutaj, w prawodawczych, że tak powiem, kółkach artystycznych, przyjmowano ją z wielkiém uwielbieniem, a jéj ówczesny tamże pobyt stał się prawdziwym kamieniem węgielnym do jéj późniejszego znaczenia we Florencji. W r. 1763 znajdujemy ją jako piękną, młodą i już zupełnie rozwiniętą dziewicę w Rzymie, u celu jéj ciągłych marzeń i życzeń. Tutaj odwiedziła Winkelmana w jego pracowni, tutaj odrysowała go w jego *atelier*. Jestto ów znany, pełen ducha i wyrazu portret wielkiego artysty-uczonego, najlepszy zapewne, jaki wogóle istnieje; tak dokładny i wykończony, tak charakterystyczny, iżby raczéj rysunek ten za dzieło jakiegoś dojrzałego męża, a nie ośmnastoletniéj panienki uważać można. Angelika często przestawała z tym nieśmiertelnym mężem, a obecność tego potężnego ducha niewątpliwie stanowczy odtąd na jéj artystyczne pomysły wpływ wywarła, jeżeli takowy dotąd tylko pośrednio się objawiał. Z Rzymu pojechała Angelika do Neapolu, aby skopjować niektóre malowidła z polecenia przyjaciół sztuki. Stanowisko jéj tutaj równie było świetne, a zamówienia szczególnie znakomitych Anglików, nader liczne. Urok Neapolu niemniéj potężnie oddziaływał na wrażliwą, delikatną i uczuciową naturę artystki. Obok studjów znajdujących się w Neapolu gienialnych twórców, trudniła się rysowaniem krajobrazów, któremi kilka zapełniła albumów. Wkrótce potem wróciła do Rzymu, zkąd udała się do Bolonii i Wenecji, gdzie wszędzie oglądała i gruntownie studjowała najznakomitsze dzieła sztuki. Tym sposobem poznała ona cały zasób włoskiéj autologii sztuki od Medjolanu do Wenecji, we Florencji, Rzymie, Neapolu i Bolonii.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POTRZEBA KOCHAĆ.

(Z piosnek ulicznych i leśnych Wiktora Hugo).

Ty nie chcesz kochać, o czarnobrewa?
Wiosna się wieścią tą smuci,
Czy słyszysz, w lesie, wśród liści drzewa,
Co mała ptaszyna nuci?

Dziewczyna niczem jest bez miłości,
Miłość jéj całym urokiem.
Niebo błękitne w słońca jasności,
Czarnem się staje ze zmrokiem.

Bez uczuć zwiędniesz jako roślina,
Któréj wzrost zima przytłumi, —
Potrzeba kochać śpiewa ptaszyna,
Bo innéj piosnki nie umie.

Ludwika Sab.....

PENSJONARKA.

Powieść ***Marka Wowczka*** (pani Markowicz),
przełożył z ukraińskiego **P. Stachurski.**

(Dokończenie).

XLIV.

Gospodyni nasza była wdową; staruszka przyjazna i łaskawa, a bardzo rozmowna. Rozpowiada i rozpowiada, a wciąż o swojéj biedzie: że cały ród jéj wymarł, że ona sama została, sama jedna, jak palec. Wzdycha raz po raz, a często i zapłacze. I nad nami niemało łez wylała!... Gdy bywało siedzimy z mężem i rozmawiamy, ona zacznie płakać i przemawiać — że oto my młodzi, przystojni oboje . . . tylko by żyć i ludzi sobą radować! . . . Przemawia tak i płacze. My już ją bywało

uspakajamy. Chyba wtedy przycichnie, gdy nadejdzie *diad'ko* i krzyknie na nią: Znowu baba kwasi się!

A ona go bardzo się lękała, że taki on: ani przemówić, ani go zapytać o co!...

— Co to za człowiek, w świecie! — bywało powiada stara. — Ach, jakiż on groźny i niełaskawy, niechże to Bóg broni! Czy on nigdy nie miał rodziny, czy co takiego? Bóg wiedzieć raczy!

Rano, raniutko zrywam się, biegnę na robotę. Wracam późno. Niosę zarobione pieniądze. Wesoła pośpieszam do domu.

Na drodze mąż mnie spotyka; lubo a serdecznie ściśnie za rękę, i zapyta z cicha: Dobrześ się nameczyła? Guściu!

XLV.

Siedzimy razu pewnego wieczorem: moskal na ławie z fajką, gospodyni koło okienka, a my z Prokopem opodal. Wszyscy siedzimy w milczeniu.... gdy wtem ktoś stuk, stuk! do drzwi; a wreszcie: Jak się macie! huknęło coś za drzwiami.

To Nazar!

Wszedł i stoi przed nami, do sufitu głową sięgając: fajka w zębach i siwizna, myślałbyś: pochowała się w gęste kędziory.

— Pomaga Bóg gospodyni i wszystkim!

— Dziękuję! Prosimy dalej — wita go stara.

— Zkąd się tu wziąłeś? Nazarze! — pyta Prokop.— Jakby z pod ziemi wyrosł!...

— Ztamtąd — odpowiada — zkąd dobrzy ludzie wędrówki wyczekują...

Diad'ko ruszył się, spogląda na drzwi.

— A czego się kręcisz? panie moskalu! Jednéj wiary... nie żachaj się!

Diad'ko wciąż patrzy na drzwi, na okna.

— Owwa, jakiżeś mi prędki! Czy nie chcesz złapać wiatru w polu?... Ale i ty sam, widzę, stepowy.... Toż nie probój, nie złapiesz!... Lepiéj daj mi zapalić fajki... Jakże się wam tu wiedzie? — pyta nas. — Po czemu w mieście mołodycze żwawe i ładne? — mruga na mnie.

— A u was tam jak? — zapytuje go także.

— Jak?!... Dają do wyboru: albo się utop, albo tak przepadaj!

— Och, biednaż ty godzino moja! — zakłopotała się gospodyni.

Diad'ko tylko wąsa pokręcił.

— A stara? — pytam.

— Żyje. Stara wszystko przecierpi... Kłania się wam.

O sobie pytam: co pani mówiła?

— Ehe! było za was obu panu na orzechy! — Przez twoje bratania się z chłopami straciliśmy dwóch robotników! któż na kpa wyszedł?... — To pani tak; a ja powiadam: kiep nie kiep, ale stojąc przed nią, ani trochę nie był podobnym do rozumnego!...

Gospodyni tymczasem prosi na wieczerzę. A Nazar dostał z zanadrza flaszkę wódki i postawił ją na stole.

— Wypijemy — powiada — jeden, drugi, bo nasz wiek nie długi! Niechaj zdrów pije, kto z biedą żyje!

A diad'ko: Co to za wódka! — powiada. — Lepiéj pić wodę, aniżeli taką wódkę!

— Kto zechce, napije się i wody — ozwał się Nazar.

— Wódeczka, zdaje się być niezłą! — powiada gospodyni.

— Bodaj temu szynkarzowi takie życie dobrze! — odburknął diad'ko.

A mimo to wypił jeszcze, i jeszcze! Wypije i splunie, naleje i znów wypije!...

Stara dziwi się i głową kręci; a wreszcie nie wytrzymała: Cóż wy ją tak dudlicie!...

— Nie twoja rzecz, babo! — huknął dziad'ko. — Dla przyjaźni każdą pijemy!...

— Na zdrowie!

— Znajcie naszą dobroć moskiewską — dodaje Nazar.

Jemy wieczerzę, rozmawiamy, a diad'ko pije i pije. Pobladł i na stół się pochylił. Patrzy na mnie i na męża, i powiada: Oj, wy młodzi! młodzi! Nie długo wam żyć razem!... Ale się nie martwcie!... Żyliście, roskoszowali, i dość z was! Bywa tak, że od kolebki nie wiesz co to pociecha jaka; przeżywasz wiek pod kijem!... O tak, żyj! bez rodu, plemienia, bez rady, pociechy — w roskoszach!...

A stara wtedy do niego: A jakiż ród wasz? diad'ku? zkąd pochodzicie?

— Z kantonistów *) — odpowiedział ponuro moskal.— Z tych, jeśli słyszeliście, co to nas zmniejszyło się w czasie cholery... Krewnych nie ma. Nie znałem i nie znam.

— A wasza matka?

— Mówiłem: nie znam! Poco pytać napróżno.

— Ot tak, i ja teraz sierota!... — powiada gospodyni, płacząc.

— Jeszcze i jéj do ludzi! — huknął moskal. — Jaka twoja bieda?.... plunąć! Ot, licho, gdy licho: że nie masz kogo wspominać, i o tobie nikt nie wspomni; ani gdzie pójść, ni to gdzie zostać... Każden obcy, i wszystko obce, wszystko! i chata, i ludzie, i odzież... „Stepowy“ — powiada do Nazara. — Tak bracie! Wzięli mnie ze stepów.... Ach! piękne te stepy być musiały!.... Daj, babo, wódki! wypijemy do dna, bo na dnie — lata młode!

A łzy mu cieką, cieką po zoranéj twarzy. I śmieje się on i wódkę pije... A wreszcie jak upadł na ławkę, i zasnął.

— No, po téj przemowie, bądźcież wy mi zdrowi! — powiada Nazar.

---

*) Dzieci żołnierskie. Przyp. tłum.

— Bądź zdrów Prokopie-bracie! ... Ach ... mało nie zapomniałem .... Przyniosłem ci trochę pieniędzy: rubli pięć. Zdrów używaj!

— Dziękuję ci, bracie! Ani wiem, kiedy ci oddać będę w stanie ...

— Haj-haj! byleśmy żywi byli! ... To nie pańskie pieniądze — bratnie! one nie zakłopoczą! Ja zarobię ... Wolny jestem teraz, chociaż na pół roku ... Z chartami mnie nie dogonią!

I poszedł, pożegnawszy się.

Tyleśmy go też widzieli.

XLVI.

Boże miły! jakie to życie nasze było!... Choć z biedą, choć z lichem — a takie lube, takie błogosławione... Oddychasz swobodnie, wesoło patrzysz, i myślisz sobie: że oto i posiedzę, i pomówię, nie lękam się nikogo! Robię co, czy nie, nikt mnie nie zmusi, nikt nie skrzywdzi. Duszą i ciałem czuję, że żyję!

Aż tu na wiosnę, rozniosła się wieść, że żołnierze idą w pochód.

— To nieprawda! wmawiam sama w siebie, a serce odrazu powiedziało mi, że prawda. Tu i rozkaz: do pochodu gotować się, do pochodu!

Prokop mnie pociesza; dowodzi mi, że to rozdział chwilowy... że on wróci, powiada, będziemy swobodni!...

— Tak! tak, powiadam, tak, mój drogi!

A serce mnie boli, łzy płyną.

Już i dzień wymarszu oznaczono. Poszliśmy pożegnać się do futoru. Państwa nie było w domu; tylko babusia sama na gospodarstwie.

Babusiu ty moja luba! ... Poznałam ją zdaleka na podwórzu, a poznawszy zapłakałam. Duszą żyjącą ona tylko żyła. Poskoczyłam do niéj, ściskam jak rodzoną matkę.

— Czego ty płaczesz? gołąbko moja! — pyta mnie zcicha.

— Więc wy tu zostaniecie? w tém piekle!

— A już tu, moja ptaszyno. Tu urodziłam się, ochrzciła, tu osierociałam ... tu i umrę, moje dziecko!

— I do śmierci cierpieć będziecie?

— Będę cierpieć, gołąbko!

Pobłogosławiła ona nas jak rodzone dziatki; obdzieliła, czém miała.

Pożegnawszy staruszkę, poszliśmy ... A nie raz, nie dwa zwracaliśmy się, patrzyli ... Na progu stoi babusia. Dokoła cisza, jasno wszędzie ... Z pola wieje wiaterek, z gajów chłodkiem dyszy ... W dali szumi woda ... a w górze nad wszystkiem igra, promienieje dobroczynne złote słońce! ...

XLVII.

Podprowadziłam ja męża aż do Kijowa. Tu zostałam na służbie, a on z wojskiem kędyś daleko poszedł, na Litwę! Nie osuszaj sobie łzami, biednego serca! nakazywał. Ja wrócę ... Miéj nadzieję ... Czekaj na mnie! ...

Czekam. Ach, jaka ta służba długa! Już siedm lat jak on poszedł. Czy też go kiedy obaczę?

W swojéj wsi nie byłam. Słyszałam od ludzi, że wszyscy żyją. Wiedzie się tak, jak się dawniéj wiodło. Babusia żyje, cierpi ... A o Nazarze, ani słychu!

Służę, wynajmuję się, zarabiam ... Co nasz grosz? Krwią zakipiały! A czasem mi tak lekko, tak się dobrze zrobi, gdy pomyślę, że jeśli zechcę, wnet mi tę służbę porzucić wolno! ... Pomyślę tak, i roku dosłużę. Jakoś pocieszy mnie, ukrzepi ta myśl, że mi wolno, że rąk związanych nie mam! ... Ta bieda doczesna, nie wieczna! myślę.

A jakże mi męża zapomnieć choć na chwilę! On mnie z piekła, on mnie z jarzma wyzwolił ... Mnie Bóg by zapomniał! On mój mąż, mój dobroczyńca ... Dopomóż mu Matko Boska! ja-m swobodna!

I chodzę, i mówię, i patrzę ... Ani mi w myśli, że są gdzieś panowie na świecie!

Z ŻYCIA.

przez ***Władysława.***

I.

Tkliwość.

Pan Jerzy wykiełkował z bardzo żyznego gruntu. Konstelacja Nałęcza i Rawy przyświecała jego urodzinom, a słońce poezji wygrzewało młode jego członki.

Przysłuchując się romantycznym opowiadaniom, usypiał na łonie staruszki Babki, a tęskny śpiew prządek od rannego kominka budził do życia czarne jego oczęta.

Kotek Babuni był jego przyjacielem, a wędrówka na grób matki, codzienną rozrywką. Czytać uczył się na śpiewach historycznych, i w piątym roku życia umiał większą ich część na pamięć.

Siedm razy przekwitły róże od czasu przyjścia na świat pana Jerzego, kiédy wypadek pod Villagos po raz już trzeci zabił świetne nadzieje jego Babki. Pan Jerzy wysłuchawszy z drugiego pokoju opowiadanie X. Proboszcza zwiastuna téj nowiny, skrył się w kąciku i płakał przeszło godzinę.

Taki był pierwszy skutek babcinego wychowania, które czterem jéj synom ułatwiło zwiedzenie kopalni azyatyckich na koszcie rządowym.

* * *

Zostawiam ci moje dziecię, mówiła umierająca Babka, dwie piękne wioski i ten przekaz, który pod błogosławieństwem spełniać winieneś: kochaj i pracuj!

Tą razą Jerzy nie płakał. Wyschły i żółty wrócił po kilku dniach do szkół, które miał za rok ukończyć. Nau-

czycielom nie schlebiał nigdy, a rzadko bardzo dzielił rozrywki kolegów, mimo to lubili go wszyscy, i co dziwniejsza za wyjątkiem Matek siadających na oślej ławie jego kolegów, nikt nad nim złośliwych uwag nie robił.

Wydał tyle pieniędzy na te książki, nie chciał się bawić z innemi chłopcami, udawał mądrego, a ot i wrócił z patentem na bibule ten, ten filozof, powiedziała najbliższa sąsiadka babki Jerzego.



ŚLEPIEC Z PRZEWODNIKIEM.

Wypracowanie z historji podane na ostateczny egzamen dojrzałości, sprowadziło na niego niełaskę kuratora szkół pana Kłamcowa; na jego rozkaz został Jerzy ze szkół wydalony.

Mówili, że wielki historyk, a ot i pokazała się historja; już to mój Lolo tego nie zrobi, dodała druga.

Już to spodziewałem się panie ten tego, — mówił opiekun — że masz choć odrobinę rozsądku, mój Je-

rzy, cóż teraz? okryłeś siebie i mnie wstydem tedy, i basta!

Oto mamy wychowanie babki, mówiłem ja jéj że się źle brała do rzeczy, tak to tedy zawsze kończą się romansa, skaranie Boże, ja teraz tedy muszę cierpieć i naprawiać cudze głupstwa. Pójdziesz na praktykę do którego z sąsiadów i skończyło się, a nie, to rób sobie co chcesz.

* * *

Szesnastoletni Jerzy przeczuł, a może poczuł, że odtąd nie pieszczoty Babki lecz szorstka dłoń świata dotykać go będzie. Serdeczny uścisk zimnych grobowców zatlił w nim płomień woli i Jerzy zrobił co chciał.

Konkursowy egazmen nadał mu obywatelstwo jednego z zagranicznych Uniwersytetów.

Któż zdoła ująć w foremną całość i streścić fermentującą ustawę studenckiego życia? Któż go zdoła pojąć, jeżeli go nie chwytał na gorących uczynkach? Jakaż fantazja zdoła wytworzyć ten prawdziwie dantejski obraz kipiącéj snopami ognia lawy najróżnorodniejszych uczuć, pośród pędzonych szalonym huraganem rozbudzonéj wyobraźni fal wiedzy? W taki to tytaniczny chaos rzuconą została rzewna natura Jerzego, lecz dzięki dwom stojącym na straży jego duszy aniołom wyszła niepokalaną. „Kochaj i pracuj" te reminissencja dzieciństwa, to czuwający cień matki, któréj nie znał, to wydzielająca ostatnie błogosławieństwo ręka umierającéj staruszki babki. Jerzy miał naturę wrażliwą, więc pierwsze wrażenia zadecydowały już o jego losie.

Jerzy pracował z zamiłowaniem i z przekonania, a szalał z namiętności, figle płatał bez rubaszności, a pojedynkował się bez uraz, gniewał się najdłużéj parę minut.

* * *

Wesoła drużyna studentów obsiadła stoły, duszący dym i ogłuszający gwar zdaje się dodawać humoru. Stos potłuczonych butelek i talerzy świadczy o treści zebrania . . . Silniejszy głos nad inne woła: *„silentium"*, a kilkakrotne uderzenie w stół zastępującym dzwonek rapirem przywraca ciszę. Panowie! odzywa się tenże głos, Jerzy chce mówić. Bravo! górą dzielny Jerzy, pokazać go ludowi!

I w gmieniu oka osadzony na ramionach dwóch najrośléjszych z zebrania, znajduje się Jerzy u samego sufitu — Oho. Jorg już gada oczami, odzywa się kilku, patrzcie, patrzcie!

Rzeczywiście, z ironicznym uśmiechem na ustach, z dziwnym wyrazem na rzucających błyskawice oczach przystępował Jerzy do słowa.

Dziwne były jego mowy, gwałtowne i gromkie z początku, wywoływały wesołość i oklaski, potem grobową ciszę, w któréj bicie serca policzyć było można; kończyły się zaś ledwo dosłyszalnym dźwiękiem . . . z przymkniętemi powieki zsuwał się Jerzy z ramion kolegów i znikał . . . .

* * *

Przy pilnéj pracy urozmaicanéj wybuchami gorącéj krwi i bujnéj fantazji, pośród znakomitych dysput przeplatanych tysiącznemi awanturkami, przeszło Jerzemu lat dwa. Nastąpiły czasy narodowego nieszczęścia: klęsk. Wieść o wybuchu doszła Jerzego w chwili, kiedy wychodząc z przedstawienia „Nieméj z Portici" zostawał jeszcze pod podżegającym wpływem Barkarolli i hymnu Maraniellego.

Jerzy był człowiekiem rassowym, przekonań skrajno-radykalnych! Pierwszy pociąg kolei uwiózł go na północ . . .

* * *

Obrzućmy całunem milczenia kilka lat następnych. Na polu sławy widział Jerzy podających tył domniemanych bohaterów, w organizacyjnych zabiegach około publicznego dobra spotykał się z innemi praktykami karjerowiczów politycznych.

Znając Jerzego, łatwo pojąć jakim piekielnym stęplem odbiło się w duszy jego to pierwsze złamanie wiary w czystość ludzkiego sumienia. Zrujnowany pod każdym względem, wrócił Jerzy do swoich nauk. Całem bogactwem jego stały się pamiętne słowa babki: „Kochaj i pracuj" Jerzy wierzył w nie jak w Boga, i to było jego zbawienie. Pośród wielu kolizji i tentacji a sumiennéj pracy przeszło jeszcze lat 4, nasz Jerzy stanął wprawdzie nie na rodzinnéj lecz na polskiéj ziemi.

Idźmy śladem tych jego kroków, których oko nie widzi.

* * *

Różnobarwny a krzykliwy tłum zapełnia rotundę miejskiego ogrodu, przysłuchując się na zimno dźwiękom wojskowéj muzyki. Na jednéj z bocznych ławek siedzi nasz Jerzy wlepiony duszą i słuchem w melodją granego właśnie koncertu Berjota. Skulony we czworo i nieruchomy, mógłby raczéj być wziętym za bezwładnego automatę niż za szukający krateru walkan. O czem ten człowiek myśli? Bóg jeden wié! Czy wié że słucha Berjota? Nie! On nic nie widzi i nic nie słyszy jak tylko szum rodzinnych jodeł, śpiew prządek od kominka, krzyki kolegów wzywających go do mowy i tentent koni swego szwadronu tratującego wroga. — Muzyka umilkła, rozbudzony Jerzy rozglądał się dokoła ciekawie, aż gwar ludzi, łamiące się w zieleni drzew promienie słońca i lekki powiew wiatru niosącego woń kwiatów, przywrócił mu świadomość.

Nie na długo!

Szła obok Matki poważna i wyniosła jak anioł umiarkowania, Jerzy byłby przysiągł że dotykała głową korony niebieskiego błękitu. Prócz rozlanego w całości piękna Jerzy nic innego nie widział, a byłby dwakroć

przysiągł, że to jest wcielenie tego cienia, który go dotąd odgradzał od każdéj kobiety.

Jerzy wiecznie coś kochał: kochał babunię, kotka, śpiewające prządki, kościelnego dziatka; potem kochał przyjaciół, ojczyznę, potem piękno stworzenia, zasady, prawdę, prócz tego kochał on jeszcze coś, bardzo, bardzo kochał, niewiedząc co?

Teraz się dowiedział!

Miłość takich ludzi jak Jerzy to nie cichy szept płynącego w cieniu strumyka, lecz potop ognistéj lawy potrącanéj wichrem gwałtownych namiętności, znalazłszy ujście, płynie spokojnie do nieba, oświecając wybrzeża aureolą szlachetnych czynów, wytrącony z naturalnego łożyska, lub ujmowany w formy sztuczne, rozprzęże się, rozbije o skały piekła, i piekło samo zrujnuje.

Biedny Jerzy, dokąd dopłyniesz?...

Nie znał jéj i nie szukał, wymawiał się sam przed sobą, przy każdym spotkaniu zdawał się widzieć koniec świata, a przecież?...

Rozum mówił mu: niemasz teraz żadnego majątku więc praw miłości świat ci odmówi, chęci mówiły inaczéj....

Przyjaciele poznali ich i zbliżyli!

* * *

Karnawał. W salonie Matki pięknéj Izabelli świetny bal. Uprzywilejowani burzyciele posadzek idą o lepsze.

Walc. Jerzy trzymając na ręku rozkoszną kibić ukochanéj, zdaje się w szalonym pędzie niedotykać ziemi...

Usiedli na uboczu. Rzewnym głosem serca robi jéj pierwsze wyznanie miłości i pierwsze zaklęcia, czując w sobie niebo, w jéj oczach niebo znajduje.

Tkliwa dziewica ważność chwili pojmuje, schyliła ku niemu główkę, by nikt nie spostrzegł wzruszenia, a ze wzdętéj piersi wyszedł cichy szept:

„Ileż pan ma rocznego dochodu?"

Teatr. — („Hamlet" tragedja *Shakespeara).*

Po kilku powtórzeniach znanych i niechętnie widzianych komedji, doczekaliśmy się przedstawienia „Hamleta," które pod wieloma względami korzystniéj niż dawniéj wypadło. — Nie mogąc na tym miejscu zapuszczać się w głębsze traktowanie znakomitéj tragedji wielkiego Bryta, uwagi nasze zamknąć musimy w zwykłych ramach teatralnéj recenzji.

Cały ciężar utworu polega na roli tytułowéj, od jéj wykonania zatem wszystko tutaj zawisło. Hamlet podczas przedstawienia jest niejako udzielnym panem myśli widzów, wytyczną ich uczuć, regulatorem każdego uderzenia serca, artysta jednak używający chwilowo tak wielkiéj władzy, zadaniu swemu pod każdym względem sprostać powinien. Niedość tutaj samych tylko studjów i przejętéj lub oryginalnéj metody w zewnętrznym wykończeniu, ale trzeba wewnętrznego przejęcia się wszelkiemi możebnemi uczuciami, jakim bohater tragedji podczas różnych faz akcji prawdopodobnie ulegał. Artysta grający tę rolę, zrość się z nią niejako powinien i nieopuszczać ciągle snującego się wątku myśli w chwilach nawet gdy za kulisy ustępuje — w piersiach jego Hamlet gra bezustannie!

Pan *Rapacki* w roli Hamleta uwydatnia całą siłę niepospolitego swego talentu, wszelkie modulacje i zewnętrzne wykończenie godne są wysokiego uznania, lecz p. R. gra na zimno i dlatego panem swoich widzów nie jest i być nie może, z tego też powodu nieme sceny nie zupełnie korzystnie wypadły. Takież same uznanie jakie oddaliśmy głosowi i akcji, należy się też do pewnego stopnia i metodzie, detaliczne jednak jéj przeprowadzenie, obudziło w nas niektóre wątpliwości, na które uwagę p. R. zwrócić musimy.

Przed wypowiedzeniem osławionego monologu „Być albo nie być" wchodzi p. Rapacki na scenę widocznie przygotowany na powiedzenie czegoś ważnego, mało tego, kroczy on wprost do stołu przy którym stoi krzesło i fotel, omija pierwsze i sadowi się wygodnie w drugim jakby jaki profesor w audytorjum. Takie wejście i taka *oratio ex catedra* są tu z przyczyn czysto psychicznéj natury zupełnie nie na miejscu. Hamlet wchodzi na scenę pogrążony w tak głębokiéj refleksji, że wpadłby w fossę, gdyby ta stała na jego drodze — zkądże zatem ten wybór między krzesłem stojącem na pierwszym a fotelem na drugim planie. P. Rapacki mógłby zatrzymać się niechcący u stołu, i pół-wsparty na nim wypowiedzieć swój monolog z początku cichym szeptem a potem z nadzwyczj subtelnym obserwowaniem skali podwyższania intonacji coraz to głośniéj aż do chwili kiedy spostrzega Ofelią, teraz głos jego który dotąd był właściwie tylko echem wewnętrznéj spekulacji ducha, staje się rzeczywistym organem zwykłéj mowy, lecz mowy zaprawionéj żółcią, przesyconéj ironią. „Idź do klasztoru Ofelio" „Ofelio idź do klasztoru" to głos wątpiącego tytana, to jedna z najpiękniejszych scen jakie kiedykolwiek były napisane. Środki duchowe p. R. nie dopisały w tém miejscu, jak również nie wystarczyły na oddanie sceny z matką w chwili kiedy Hamlet robi jéj wyrzuty i porównywa pierwszego jéj męża z drugim, ojca swego ze stryjem.

Wykazywane jaskrawo różnice gniotą w proch matkę, a publiczność pod wpływem mowy Hamleta mimowolnie przerzuca się z sympatji dla nieboszczyka w nienawiść do żyjącego męża.

Czyż tak było na niedzielnem przedstawieniu? Porywająca sytuacja téj sceny przeszła niepostrzeżenie!

Wielbiciele p. Rapackiego *quand même* zarzucą nam może surowość i zbytnie uwzględnianie delikatnych odcieni. Owóż tedy odpowiadamy, że właśnie wysoki szacunek dla talentu p. R. detale takie nakazuje nam poruszać. Niemcy spierają się o to czy Hamlet powinien wejść na scenę w opadłéj pończosze lub nie, my więc jeżeli chcemy mieć skończonych artystów, powinniśmy brać recenzje teatralne na serjo i już jeżeli nie za strojem, to śledzić powinniśmy przynaj-

mniéj za nieprzerwalnym tokiem zadośćuczynienia warunkom scenicznego artyzmu. Przepisywanie oklepanych formułek ubliża zarówno krytykowi jak krytykowanym, osłabia powagę analizy i jéj wpływ na artystyczny kiernnek teatru, który bez umiejętnie prowadzonéj reżyszerji, bez literackiego komitetu i bez starannie redagowanych recenzji, nigdy a nigdy wznieść się nie będzie w stanie.

Pani Nowakowska (Ofelia) zrobiła wiele bardzo z tego co sztuka wymaga, ale bardzo mało dla natury—jéj Ofelia, mianowicie w scenach obłąkania, zadowolniła nasze oczekiwania pod względem technicznym, czy jednak pozyskała sobie czyjekolwiek serdeczne współczucie?

Pozwalamy sobie wątpić!

Zwracamy również jéj uwagę, że perjody gry niemej przy ostatniem wejściu na scenę były za krótkie i nie dość wyraziste, a sztywne i chłodne zachowanie się w scenie teatralnéj raziło niestosownością.

P. *Benda* (Polonius) dawał nauki odjeżdżającemu Laertesowi w sposób jak tylko można najniestosowniejszy, a owo przeciągłe *ece* w chwilach *niby* namysłu, było jakby fałszywym akordem pośród tonów poważnéj muzyki; dalsze sceny wypadały pomyślniéj, choć taka jowialność nie odpowiadała charakterowi starego dygnitarza.

P. *Ladnowski* (Laertes) był źle zupełnie ucharakteryzowany, nie pojmujemy też zkąd przyszło mu wdziewać galowy strój w scenie przyjścia wprost ze statku na dwór, mówimy strój galowy, ponieważ w poprzednich scenach był nierównie skromniéj przystrojony.

Scena sporu i walki na grobie Ofelii między Hamletem i Laertesem wypadła nad wyraz blado, a przecież jest to moment stosunkowo najtragiczniejszy.

Inne role oddane były mniéj lub więcéj miernie, a Rosenkratz i Güldenstern byli rzeczywiście bardzo pocieszni. Nic dziwnego że przy takim *Ensamble* detale wiele traciły na sile i uroku.

O...le.

---

a. δ. **Kronika**. — *Wróżby o zimie à propos św. Marcina i gęsi. — Wtorkowe przedstawienie „Astronomii.“ P. Krosso wyborna żabka do kroniki. — Publiczność krakowska przekonywa się, że cudzoziemcy mają nas za baj-bardzo.*

Zdawałoby się, że na pociechę niewinnych gąsek, zima zapomniała zupełnie o św. Marcinie, który zapomniał znowu, zawitać do nas na siwym koniu.

Fakt ten jednakże nic a nic podobno nie wpłynął na śmiertelność płci gęsiéj, gdyż jak statystyczny wykaz wskazuje, w samym Krakowie padło tych niewinnych ofiar przeszło parę tysięcy!

Kto więc nie kosztował w dniu tym skrzydełka lub piersi gęsiéj — musi być osobistym nieprzyjacielem tego ptactwa.

Jednakże mimo tak strasznéj rzezi jaka na święty Marcin odbyła się na całym niemal świecie — astronomowie nie są w stanie dać dokładnéj definicji o tegorocznéj zimie.

Niecierpliwi Krakowianie zawiedzeni na gęsiéj wróżbie, co chwila zaglądają do kalendarzy — a tutaj śniegu jak niema tak niema.

Nie jedna piękność nasza wzdycha do przejażdżki sankami, marzy o dźwięku dzwonków — a tutaj błoto i błoto!

Kronikarze jedni zachowują się dotychczas z godną takiéj sprawy powagą, i niby litewskie bociany . . . przechadzają się z miną uczonych doktorów — chwytając na koniec pióra skaczące w błocie *żabki.*

Przyznać się muszę, że i ja wychodzę nieraz z domu na polowanie podobne, zwłaszcza gdy mam pisać . . . kronikę do pięknéj (jak mówi „*Mrówka*“) „Kaliny.“

We wtorek przecież wyszedłem z domu niewinny, myśli podobnéj jak najniewinniejsze dziecię — a wyszedłem do teatru, pewny, że umysł mój wzbogacę wszystkiemi gwiazdami, które dotychczas kryły się za chmurnym horyzontem mego życia.

Pan *Krosso* bowiem obiecał mi to najsolenniéj.

Tymczasem niech mi to sławny astronom wybaczy, tak jak ja pragnę niepamiętać mu tego przez miłość chrześcijańską — ale, przedstawienie wtorkowe jego astronomii było czystym żartem z prześwietnéj naszéj publiczności, która mimo wszystkich błędów lokalnych, nie jest tak naiwną, aby ją przedstawienie podobne zabawić mogło.

Rzeczy i figle takie oglądają się w szopkach na jarmarku. Teatr Bergera miał nierównie piękniejsze i ciekawsze rzeczy, a przecież wystawił skromną budkę i pokazywał to wszystko *taniéj* i na placu przed ratuszem.

Dobrze i niesłychanie praktyczniéj możeby było, gdyby Dyrekcja teatru podobne wędrujące żabki dobrze obejrzeć wprzód raczyła, zanim je sprezentuje publiczności.

Tego rodzaju farsy jak wykład wtorkowy astronomii, może być nauką dla publiczności, któréj nie prędko zapomni.

Korespondencja „Kaliny.“

P. Karolowi S. Słuchaczowi prawa w Krakowie. — autorowi wiersza p. t. „Pasterz.“

W odpowiedzi zacny panie, przyjmij nasze zapytanie — czego od nas chcesz? Że jest trudne rymowanie, o tem lepiéj zacny panie niżeli my — wiesz! Bo cóż może kura pianie, jeśli pasterz woli spanie?! i gnuśnym się stał. — Choć dziewczyna na kochanie woła — nie usłucha panie pasterz — będzie spał. Zatém radzę zacny panie, byś wziął na się to wołanie — i piał jako *kur.* Wtenczas może rozwiązanie łatwiejsze się dla nas stanie, mając z pana wzór. — Gdyż w parnasie zacny panie, nie dla wszystkich jest mieszkanie a do tego wikt. Koncept, za dowcip nie stanie, poezja, za rymowanie — nie zaprzeczy nikt, a więc takie nasze zdanie; niechaj zacny pan zostanie jako *wonny kwiat,* dzisiaj apostołowanie „Pasterza“ i kura pianie gotów wyśmiać świat.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.

Rządzca drukarni *Józef Łakociński.*